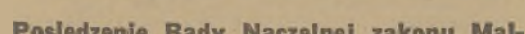
Obrońcy Grobu Chrystusa



Posiedzenie Rady Naczelnej zakonu Maltańskiego według sztychu średniowiecznego

Kraków, w marcu.

Najbardziej może charakterystycznem, żeby się tak wyrazić, świętem katolickiem jest Wielkanoc. Zawiera ono w sobie wszystkie najważniejsze momenty duchowe wiary chrześcijańskiej, a więc przedewszystkiem Zmartwychwstanie, a następnie dźwięczy w niem nuta nadziei i radości. W święcie tem znajdujemy ciekawy **punkt wyjścia dla ideologji chrześcijańskiej:**

jest nim Grób Chrystusa,

z którego On zmartwychpowstał.

Grób ten stanowił przez wiele **wieków nietylko cel licznych pielgrzymek,** które przechodząc niezwykłe niebezpieczeństwa i przygody docierały wkońcu do Ziemi Świętej, ale też zdobycie jego było przez kilka wieków celem całej społeczności chrześcijańskiej. Jeżeli w licznych traktatach politycznych z niewiernymi państwa chrześcijańskie zabezpieczają sobie wolne przejście pielgrzymów do Ziemi Świętej, to papieże nie przestają nawoływać monarchów chrześcijańskich do podjęcia wypraw Krzyżowych celem wyrwania z rąk niewiernych Grobu Chrystusowego. Skutkiem tego jest

siedem Wypraw Krzyżowych,

które złożone z rycerstwa całej Europy, a przedewszystkiem zaś z licznych feudałów francuskich, włoskich, niemieckich, częściowo też polskich, jak np. Jaxy z Miechowa, zdobywają krok za krokiem państwo jerozolimskie, staczając homeryczne boje z Turkami.

Jakkolwiek **nie udało się rycerstwu zachodnio-europejskiemu stworzyć silnego państwa w Ziemi Świętej,** a różne twory, które powstały po drodze, jak np. Królestwo Trebizondy, hrabstwo Edessy i inne, nie ostały się przed uderzeniami wojsk niewiernych, to jednak **te liczne wyprawy wojenne wniosły nowego, bohaterskiego, głębokiego ducha w ówczesny świat.** Powstały przedewszystkiem liczne napoły religijne, napoły zaś świeckie zakony, których członkowie mieli w sobie łączyć

wszystkie główne cnoty ówczesnego świata,

a więc przedewszystkiem oddanie się ideologji chrześcijańskiej, odwagę, bezinteresowność, pokorę i ubóstwo.

Zakony te, z których niektóre zachowały się do dziś dnia, **odegrały w swoim czasie dużą rolę polityczną, a nadewszystko moralną.** Świat ówczesny miał teraz swoje widoczne, żywe wzory wszelkich cnót, mógł wzorować się na nich. Najbardziej znanym **zakonem tego rodzaju jest**

Zakon św. Jana Jerozolimskiego,

zwany powszechnie **maltańskim** od wyspy, na której przez dłuższy czas przebywał, sprawując na niej suwerenne rządy. **Założony przez kupców z Amalfi,** wkrótce się rozrósł, przyjmując w swoje szeregi dzielnych rycerzy, mających na celu obronę pielgrzymów oraz sprawowanie opieki nad Grobem Chrystusa. Poza stroną czysto wojskową **celem zakonu było również użyczanie usług szpitalniczych,** jak to zresztą było zwyczajem we wszystkich innych zakonach, których członkowie nieraz przyjmowali też nazwę „szpitalników".

A było to **szpitalnictwo w owych czasach niebyle zadaniem:** polegało na tem, że przygotowywano przedewszystkiem pomieszczenie dla licznie przybywających pielgrzymów, **leczono ich w razie choroby,**

zajmowano się również chorymi na trąd,

którzy naówczas nie należeli do rzadkości.

Zakon Maltański, o ile pierwotnie służył celom jak się powiedziało charytatywnym i religijnym, wnet po powstaniu Królestwa Jerozolimskiego i po reaktywowaniu walki z niewiernymi, **stał się jedną z formacyj bojowych tegoż królestwa i doszedł wkrótce do wielkiej potęgi.** Gdy panowanie chrześcijan skończyło się w Jerozolimie, otrzymał Zakon **wyspę Rodos** jako swoją siedzibę, później zaś przeniósł się na **wyspę Maltę,** gdzie pozostawał aż

do zaboru jej w roku 1799 przez Anglików

i wtedy **to skończyła się też suwerenność Zakonu.** Ostatnim wielkim mistrzem suwerennym Zakonu był **brat Hompesch.** Ciekawem jest, że zgodnie z dawną tradycją wszyscy członkowie zakonu noszą nazwę braci, która w postaci włoskiego słowa **„fra"** czyli **„brat"** — „fratello" poprzedza **też nazwiska wielkich mistrzów. Dzisiaj rola tego zakonu jest oczywiście inna:** posiada on w kilku krajach

swoje szpitale utrzymywane własnym kosztem,

wielki mistrz zakonu, którym jest obecnie książę Ludwik Chigi-Albani della Rovere, rezydujący w Rzymie, jest uważany w dalszym ciągu **za suwerena i utrzymuje**

przy kilku rządach europejskich swoich ambasadorów,

nie posiada natomiast terytorjum, chociaż pałac zakonu Maltańskiego w Rzymie **posiada prawa eksterytorjalności.**

Drugim ciekawym i historycznie ważnym zakonem, powstałym również w średniowieczu jest **Zakon św. Grobu,** który jest wprawdzie nieco młodszy od maltańskiego, ale również przez długie wieki cieszył się wielką popularnością. U tego zakonu spotykamy już **wyraźnie tę ideologję bronienia Grobu Chrystusa,** o której mówiliśmy poprzednio. I faktycznie **rycerze tego zakonu** postawili sobie za zadanie chronić tę najcenniejszą pamiątkę chrześcijaństwa.



Jerozolima — bazylika Grobu Pańskiego — wejście do kościoła.

Byli to **pierwotnie bracia zakonni,** związani dosyć luźną regułą, która zczasem coraz bardziej się konkretyzowała. Przystąpiło do tych braciszków **kilku świeckich rycerzy** i w ten sposób powstał Zakon, który po dziś dzień posiada wielu członków w różnych krajach Europy. Ostatnio, t. j. jakieś 10 lat temu **i w Polsce powstała prowincja tego zakonu.** Poprzednio był on również znany na naszych ziemiach, a jedną **z największych fundacyj na jego rzecz był dar uczyniony przez możnowładcę małopolskiego Jaxę z Miechowa** w postaci licznych dóbr.

Nie koniec jednak tych średniowiecznych zakonów: ważną polityczną rolę odegrał **niemiecki zakon Najświętszej Panny Marji,** zwany później **Zakonem Niemieckim** albo **Krzyżackim.** Po przeniesieniu się z Ziemi Świętej do Europy postawili sobie za zadanie **wytępienie w Prusach pogańskich mieszkańców tego kraju i stworzenie w tym kraju państwa zakonnego.**

Popierani przez różne państwa europejskie, otrzymując liczne przywileje i t. d., dokonali swojego zamiaru, tworząc

zakonne państwo na ziemiach pruskich

i odgrywając coraz większą rolę w polityce północnego-wschodu. Państwo to zakonne **skończyło swój żywot z chwilą, gdy wielki Mistrz Zakonu Albrecht Hohenzollern przyjął protestantyzm i z księstwa zakonnego uczynił księstwo świeckie.** Niedobitki tego zakonu przeniosły się do **Wenecji,** a nasępnie do **Wiednia,** gdzie do ostatnich czasów zakon ten istniał pod przewodnictwem jednego z **arcyksiążąt austrjackich,** ostatnio **arcyksięcia Eugenjusza,** następnie zaś **biskupa Kleina z Moraw.**

Możnaby tu jeszcze wymienić **kilka pomniejszych zakonów rycerskich powstałych w** średniowieczu, jako luźne związki ludzi, dążących do jednego religijnego celu, jak np.

Zakon Matki Boskiej z góry Karmel

lub też **Zakon św. Łazarza.** Jeżeli chodzi o te dwa ostatnie to pozostają one pod protektoratem katolickich dostojników duchownych wschodu.

Późnym odblaskiem rycerskiego średniowiecza na wschodzie i południu, t. j. w Ziemi Świętej i w Małej Azji jest

kilka zakonów hiszpańskich,

założonych między XIII—XIV wiekiem, a mianowicie zakon rycerzy **Montesa, Zakon rycerzy Calatrava, Alcantara i św. Jakóba od Miecza.** Miały one zadania prawie że identyczne jak zakony w Ziemi Świętej, a mianowicie **walkę z najeźdźcami arabskimi na półwyspie Pirenejskim.** Doszły te zakony do wielkiego bogactwa, posiadały olbrzymie dobra, a **wielkim ich Mistrzem był zawsze każdorazowy król hiszpański. Po upadku monarchji w Hiszpanji wyemigrowały one zagranicę.**

Tak więc przez szereg wieków dla tysięcy dzielnych rycerzy

Grób Chrystusa był tym widomym celem,

naokoło którego kręciła się ich działalność i którego zdobycie byłoby ukoronowaniem ich działalności. Warto wspomnieć, że po **ukończeniu wojny światowej** odezwały się zwłaszcza **w prasie włoskiej** głosy, aby z **Palestyny względnie z Jerozolimy z okolicami utworzyć niezależne państwo chrześcijańskie,** czyli restytuować choćby w części dawne królestwo jerozolimskie, co jednak z różnych powodów nie doszło do skutku.

xz.

Umrzeć nigdy nie jest zapóźno.

✠

Małe dzieci nie dają spać, duże nie dają żyć.

✠

Pięć córek odbiera ochotę do śmiechu.

Cudowne lekarstwo.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — mówił dziad odpustowy, przestępując próg chaty wójta Nowiny.

— Wynoście się, dziadu — złiła się wójcina — niech was Pan Jezusicek opatrzy, bo ja akuracik nie mom jenszej roboty, jak dzisiaj o dziadach myśleć.

— Lo Boga wójcino — dyć się tela nie frasujcie a dziada nie przeganiojcie, pozwólcież mu spocząć. I dziad, nie czekając na pozwolenie wszedł do izby, jeszcze raz Pana Boga pochwalił, poczem usiadł na ławie tuż przy piecu.

— Tak to, tak — mówił żałośnie — dziadów przeganiają, niby psów i spocząć nie dadzą, Ponu Jezusiczkowi kożą dziada łopatrywać, kieby Pon Jezusiczek we swoim niebieskim królestwie ni mioł jenszej roboty, jak ło dziadach mieć starunek. — Tak to, tak — labidził dziadek, — ludzie źli, jaze łokropa, a tu człek stary, ziąb po kościach idzie...

— Rajuści — odezwała się wójcina — dyć psecie siedzicie wedle komina, a ino patrzeć, jak się poliwka uwarzy, to się i posilicie.

— Królestwo niebieskie niechże stanie się wos łotworem — rzekł uroczyście dziad — bo to wicie nawet w ewangielje świętej napisane, dziad w dom, Bóg w dom.

— Niby tak — przyznała wójcina — ale wy mi sie nie dziwujcie, zem se ta trochę gęby na wos łozwarła — ale wicie, chłop mi chory, ino patrzeć jak zemrze nieborok. Lo Boga, lo Boga — zawodziła żałośnie. — Wcora łokodzalimy go polonym pirzem i skorupami z joj, kiejsik Taraska stajała mu gorcek na brzuchu i byłoby moze co pomogło, lec cóż — chłop mój narwany jaze łokropa, w gorcek prasnył ino się skorupy po izbie łosniesły i mnie byłby bez pysk prasnył, ale mnie nie dosięgnął.

— A cóż wasemu chłopu jest?

— Guzisko łokropne usadziło mu się na syji i ani rus nie chce się łospęknąć i widzi mi sie, ze jus nic nie poredzimy — zemze nieborok i juz.

— Ale jo mu poredzę — rzekł dziadek — prowodźcie mnie ku niemu.

— Hale, hale, a bez cóż? — spytała ciekawie wójcina.

— Jak chłopa wasego obejrzę, to wom dopiro potym powiem.

— Hale, hale — dziwowała się wójcina i czemprędzej powiodła dziada do chorego. Wójt leżał na łóżku, oczy miał nieruchomo utkwione w nisku pułap izby i zda się, jakoby rachował muchy łażące po nim. Dziad nachylił się nad chorym. Wójt podejrzliwie łysnął oczami, lecz pozwolił się obejrzeć.

— Kcecie być zdrów? — zapytał wreszcie dziad wójta.

— Uhm... — była odpowiedź.

— Ano to wos bede kurowoł, tylko musicie mi dać pięćdziesiąt papirków.

— Lo Boga — porwała się wójcina — dyć za tylo pieniądzów mozna kupić krowę!

— Ano co wolicie — chłopa — cy krowę?

— No juścić, ze chłopa!

— To sie nie targujcie.

Targ w targ, stanęło na tem, że dziad dostał odrazu 20 papierków, resztę miał dostać, jak wójt stanie na nogi o własnych siłach.

Kiedy pieniądze owinięte w niezliczoną ilość szmatek zniknęły za pazuchą dziada, rzekł tenże:

— A teraz musicie posukać chłopa silnego, coby uredził wasego unieść na plecach.

Po naradzie postanowiono wezwać Maćka, co służył u księdza w pobliskiej plebanji, chłop to był nad podziw silny.

— Słuchoj Maciek — rzekł dziad do niego — jak się dobrze sprawisz — do dostaniesz od wójta ten oto kożuszek, co hań wisi na hołce.

Maciek pożądliwem okiem spojrzał na on kożuch, zaś wójcina zauważyła:

— Jakzeto — dyć to kozuch mojego chłopa!

— Przecie że tak — przyznał dziad racje — ale co wolicie, chłopa cy kozuch?

— Dyć, ze chłopa!

— To sie nie targujcie, — a do Maćka — widzis Maciek, dostanies kozuch, ino musis mi sie piknie sprawić. — A powidzno mi, cy sie ły bois?

— Niby cegój?

— Gdyby cie tak, jakie licho nasło nocą, to cobyś ucynił?

— Jakby se było spokojne, niechby se było, nicbym nie pedział, — ale jakby na ten przykład na mnie się złić chciało, wtencos... rejty Boskie! Biłbym kaby popadło. Bo to wicie dziadu, jo się nicego nie bojom, nawet samego djabła, — rogibym mu utrącił psiajuse!

— Widze, ześ chłop rozumny, to ci jesce pięć talarków wójt dołozy.

— Jezusie — jęknęła wójtowa — co ten dziad wydziwio! — A dziad prawił dalej:

— Niewiele bedzies mioł Maciek roboty, ino bez trzy noce musis mi wójta na smentorz nosić i akuracik musis tam śnim być o północy, tam ułozys wójta na ziemi, z najwiękscej mogiłki weźmies garść ziemi, smatką przywinies wójtowi na onym boloku, potym weźmies go znowu na bary i do chałpy przy-

„Śmigust"

**Bo to ino na wsi dusa
co się fantazją rusa.**

Tak opowiada Czepiec w „Weselu" — i tak jest w drugie święto Wielkanocy rzeczywiście. Bo głównem znamieniem tego dnia — to młodzieńcza, bujna, rozpętana wesołość. To święto parobków, pastuchów, dziewcząt, wogóle młodzieży wiejskiej. Minął wielki post, minęły pełne smutku i żałoby dni Wielkiego Tygodnia — „toć godzi się rzetelnie poweselić, a dzieuchom, kaj się którą dopadnie, na uwziątek robić bez całuśki dzień". Więc **uciechy i zabawy nie brak w tym dniu od samego rana.**

Jeżeli we wsi — jak to w niektórych okolicach bywa — jest tylko jedna gromadzka studnia, toż to tam bucha radość, wre ochota u ciesznym „śpasom" nie ma końca! Przy studni gwałt, harmider, walki, ucieczki, gonitwy, śmiechy, wykrzykniki wesołe, gniewy, co za moment mijają — rozweselone twarze, rozburzone czupryny parobków, czerwone od szamotań lica broniących się dziewcząt: rozpętanie żywiołowej wesołości i uciechy!

Silni parobczaki **chwytają dziewczęta i oblewają je wodą**, jedne krzyczą, bronią się i gniewają, inne już do nitki zmoczone, nie mając nic do stracenia, przechodzą z defensywy w ofensywę i rzęsiście chlustają wodą na prześladowców. Nie ustępują parobkom w oblewaniu dziewcząt i małe smyki. I ich pełno przy studni gromadzkiej, a każdy dzierży w rękach niebezpieczną broń; drewnianą sikawkę własnej roboty, albo starszego brata. Oblanym przy studni dziewczętom smyki także nie dają spokojnie powrócić do domu. Czają się za węgłami, za płotami, w przykopach, a skoro tylko która się zbliży na odległość wodnego strzału — uderza w nią raptownie doskonale wymierzony strumień wody. Bo małe zbytniki mają dobry „cyl".

W chałupach od najwcześniejszego ranka już zaczyna się oblewanie. To „śmigust" domowników. **Kto pierwszy się zbudzi, stara się drugich jeszcze na posłaniu pokropić.** Parobcy oblewają dziewczęta w oborach podczas dojenia, a gdzie dużo wody rozleją, tam, wedle starych zwierzeń, krowy będą dojniejsze.

Polewanie dziewcząt ma się odbywać **na pamiątkę tego, że żydzi, rozganiając niewiasty, rozmawiające o Zmartwychwstaniu, oblewali je wodą.** Tak jednakże — jak notują etnografowie, wsie, gdzie oblewanie rozpoczyna się dopiero popołudniu po nieszporach, a „śmiguśnicy" z osmolonemi twarzami każdą napotkaną dziewczynę oblewają lub nawet „taplaja w sadzawce". W Pardwi, w powiecie mieleckim, oblewanie dziewcząt przy studniach lub zanurzanie, nazywają odprawianiem **„świętego lejka"**, który do niedawnych czasów miał być tam obserwowany z taką bezwzględnością, że niektóre dziewczęta, bojąc się takiej kąpieli, przez cały dzień siedziały w domu.

„Śmigust" jednakże nie polega tylko na oblewaniu wodą, lecz także na poczęstunkach. Chodząc „po śmiguście" od chaty do chaty **otrzymują chłopcy i dzieci ubogie jaja,** po kawałku kołacza lub sera. Gdzieniegdzie „po śmiguście" w Poniedziałek Wielkanocny chodzą chłopcy, a dziewczęta dopiero nazajutrz. Gospodarcze, odwiedzając się tego dnia, rozdają przyniesiony z sobą „śmigust" i nawzajem przyjmują poczęstunek. Rano chodzą także gromadkami dzieci do krewnych i sąsiadów, a wszedłszy do izby śpiewają:

Przyszliśmy haw po śmieguście,
ale nam też nie odpuście,
placków, jajek nie żałujcie,
bo jak nic nie dostaniemy,
wszyćkie garnki połłuczemy.

Popołudniu znów **nawiedzają chaty starsi chłopcy z dużemi dziurawemi koszykami,** do których wlewają im wodę, z czego wiele śmiechu i wesołości.

Chodzą także po wsi „dziad i baba". Parę tę stanowi dwóch parobków cudacznie przybranych, z osmolonemi twarzami. Dziad ma długą brodę z konopi, w ręce trzyma bat długi, dziadowski płaszcz opasuje powrósło ze słomy. Przed nim idzie **równie ucharakteryzowana „baba"**, niosąca zazwyczaj na plecach w brudne szmaty owinięte „dziecko" ze słomy. „Dziad" poganiając batem „babę", wchodzi z nią do chat wszystkich zamożniejszych gospodarzy, gdzie taka baba bezwarunkowo ustąpić nie chce, nie otrzymawszy „śmigustu".

W pewnych okolicach utrzymuje się nadto zwyczaj następujący. Młodzi chłopcy jeżdżą od chaty do chaty z „ogródkiem" czyli „traczykiem", jest to mały, na zielono pomalowany wózek, w którym wśród gałązek bukszpanu stoi **baranek z chorągiewką, lub figurka, przedstawiająca Pana Jezusa Zmartwychwstałego.** Zatrzymawszy się przed progiem chaty, chłopcy śpiewają naiwną, lecz serdecznem uczuciem owianą piosenkę, jak to „Pana Jezusa na krzyżu umęczyli, Jego święty boczek włócznią otworzyli, Jego święte nogi cierpiały ból srogi, Jego święte ręce cierpiały na męce".

Oto garść zwyczajów ludowych, związanych z drugiem świętem Wielkiejnocy.

Włoskie przedstawienia pasyjne.

Kraków, w marcu.

Misterja wielkanocne, których początków należy szukać we Włoszech w wieku dwunastym, rozwinęły się w całej pełni po Wyprawach krzyżowych, kiedy to pod wpływem opowiadań krzyżowców, starano się stworzyć dla przedstawień scenerję, jak najwierniej przypominającą miejsca, w których rozegrały się poszczególne fazy męki Chrystusa Pana. W połowie trzynastego wieku zawiązało się nawet w Rzymie towarzystwo, „Gonfalon" zwane, którego głównem **zadaniem było przedstawianie męki Pańskiej w okresie Wielkiejnocy.** Cechą charakterystyczną owych przedstawień było organizowanie ich nie w zamkniętych salach teatralnych, lecz **pod gołem niebem** na obszernych placach lub przed kościołami, co w ostatnich dziesiątkach lat — jak wiemy — wznowili nowocześni reżyserzy, **wystawiając wielkie misterja Calderona czy Hofmannstala** na wolnych placach przed katedrą.

W **Padwie** odbywały się misterja wielkanocne na ogromnej wówczas łące, dziś prześlicznym, pełnym nastroju parku „Prato della Valle", któremu niedawno przywrócono jego dawną nazwę.

Niektóre sceny misterjów rozgrywały się w kościele,

tak, że widzowie przenosili się z miejsca na miejsce w miarę zmiany scenerji. W formie niemal niezmienionej zachowały się misterja w niektórych okolicach Włoch, zwłaszcza na Sycylji, najmniej dostępnej wszelkim innowacjom, jakoteż w Abruzzach, gdzie górale z umiłowaniem i wiarą, nie mniejszą, niż ich pradziadowie, zabierają się **do organizowania wielkanocnych misterjów.** Występuje w nich Chrystus, trzy Marje, św. Jan, św. Piotr, aniołowie, żołnierze i tłum.

Sławę największą osiągnęły pełne czaru poezji i siły mistycznej misterja w Sulmonie, jakoteż w Lanciano, dokąd napływa lud ze wszystkich stron w niedzielę wielkanocną, aby napatrzeć się przepięknym, nastrojowym scenom Zmartwychwstania. Zwarty tłum czeka w skupieniu, dopóki nie ukażą się ogromne posągi świętych, niesione każdy przez czterech ludzi. Jak poszum wiatru rozchodzi się tłumiony szept: „Statue! Statue!" Poprzedzani przez św. Jana **przesuwają się święci ponad głowami wpatrzonych tłumów.** Przed kościołem zatrzymuje się orszak, św. Jan kroczy majestatycznie po stopniach i dotarłszy do drzwi świątyni, uderza w jej oddrzwia. Podwoje się otwierają i wówczas zjawia się Matka Boża w otoczeniu siedmiu Marji, które **symbolizują siedem kościołów.** Dreszcz wzruszenia przejmuje zebrane tłumy. Św. Jan pochyla się do stóp zrozpaczonej Matki, oznajmiając Jej radosną wieść o zmartwychwstaniu Syna. Opada wówczas z Jej ramion żałobna szata i pełna szczęścia jaśnieje Matka Boża od brokatów, klejnotów i korony, płonącej na Jej skroniach. Z piersi Jej zrywa się rój gołębi. Matka Boska, uniesiona w górę, spotyka się ponad głowami tłumów ze zmartwychwstałym Synem, który zbliża się z chorągiewką zwycięską w dłoni. Tej wizyjnej, malowniczej scenie **towarzyszą głośne wołania i okrzyki rozentuzjazmowanego ludu.** Kobiety padają w zachwycie na kolana z modlitwą pobożną na ustach i zrywa się ogólny okrzyk: Benedetta! Santa! Błogosławiona! Święta!

Charakter nieco odmienny posiadają przedstawienia pasyjne na północy Włoch.

Tu odbywają się one już w Wielki Piątek, który według wielowiekowej tradycji **uważany bywa za dzień gościnności i serdeczności.** Uroczysta procesja z udziałem apostołów, faryzeuszów, legjonistów i wielkiego zastępu niewiast odbywa się już w godzinach przedpołudniowych. W Romagnano, miejscowości w północnych Włoszech utrzymuje się tradycja, **podobnie jak w Oberammergau w Bawarji,** że poszczególne postacie misterjów wielkanocnych bywają wyobrażane rok rocznie przez przedstawicieli jednej i tejsamej rodziny, są to role niejako dziedziczne. W czasie odbywającej się procesji ustawia się równocześnie w kościele w pobliżu ołtarza naturalnej wielkości posągi Chrystusa i Matki Boleściwej z drzewa polichromowane.

Przygotowuje się zarazem stół do symbolicznej uczty.

Po przejściu przez ulice miasta wkracza przy dźwiękach muzyki procesja do kościoła, apostołowie zasiadają do nakrytego stołu i kapłan objaśnia znaczenie św. Sakramentu. Po owej, pełnej mistycznego nastroju scenie przenosi się scenerja znów na plac przed kościołem, gdzie na trybunie, pod majestatyczną magnolją zasiadają dygnitarze rzymscy z Piłatem na czele. Kajfasz wnosi oskarżenie, a roznamiętniony lud domaga się ukrzyżowania Chrystusa. I scena **przenosi się znów do kościoła,** gdzie odbywa się gra w kości żołnierzy rzymskich, pełniących straż przy grobie Chrystusa Pana. Zwycięzca otrzymuje w nagrodę płaszcz Pana. Tradycja gry w kości o płaszcz Chrystusowy sięga dwustu lat zgórą. Po owej scenie, budzącej wśród ludności miejscowej najwyższe zaciekawienie, kościół pustoszeje, wzmaga się natomiast **ruch na ulicach i placach,** gdzie ludność, zmięszana z legjonistami rzymskimi, z apostołami i **faryzeuszami wędruje do dostojników miejskich na kieliszek świątecznego wina** i słodką przekąskę.

Na Sycylji odgrywają się misterja **przeważnie po klasztorach** z zachowaniem licznych scen charakterystycznych, nie spotykanych w innych okolicach Włoch.

Garść historycznych szczegółów
o Święcie Wielkiej Nocy.

Kraków, w marcu.

Wielkanoc **jest, jak wiadomo,** jednem z najstarszych świąt chrześcijańskich, sięgających jeszcze epoki Apostołów. Od samego zarania uchodziła też za największą i najweselszą uroczystość, podczas której zamierała wszelka praca, a nadto ułaskawiano lżejszych przestępców, uwalniano niewolników obdarzano biednych.

Jednakże już w II w. powstały spory co do święcenia Wielkiej Nocy. Pierwsze bowiem gminy chrześcijańskie, chcąc nawiązać do tradycyj żydowskich, obchodziły uroczystość 14-tego nisam i łączyły z nią pamiątkę ostatniej Wieczerzy Pańskiej; zwolennicy tej grupy nosili miano kwartodecymanów, lub z grecka: tessares-kajdekanów.

Chrześcijanie z zachodu (rzymscy) obchodzili Zmartwychwstanie Pańskie w niedzielę, którą poprzedzał dzień pokuty i postu: **piątek.** Po nieudałych próbach, dopiero na soborze nicejskim w r. 325 postanowiono, że **pamiątka Zmartwychwstania ma być powszechnie obchodzona w niedzielę, pamiątka zaś ukrzyżowania i Męki Pańskiej w piątek.** Trwających w oporze uznano za heretyków.

W dawnym kościele **Święta Wielkanocne trwały pełny tydzień.** Dopiero sobór konstantyjski w 1094 r. ograniczył święta do dni 3, a Pius VI (1775) do dwóch dni, tj. do niedzieli i poniedziałku Wielkiej Nocy. Wedle aleksandryjskiego sposobu liczenia, Wielkanoc przypaść może najwcześniej na 22 marca, a najpóźniej na 25 kwietnia.

Wiele zwyczajów i obrzędów Wielkanocnych, jakie się utrzymały powszechnie po dziś dzień, pochodzi z wielkich pogańskich uroczystości wiosennych, które mniej więcej na ten czas przypadały. Pochodzenia pogańskiego są zarówno malowanki na jajkach wielkanocnych (przypisywano im moc dodatnią), jak rozpalanie ogni, oblewanie wodą, wielkanocny całus, którym się witano rankiem po kościołach, a nawet kościelne gry pasyjne i opowiadania z ambony aż do wywołania śmiechu u pobożnych [illegible].

W połowie XV i w początkach XVI w. rozpowszechnił się zwyczaj przypominania sobie w Wielki Czwartek modlitwy Chrystusa w Getsemanji przez śpiewanie pieśni, słuchania kazań i modlitwy na wolnem powietrzu pośród grobów, budując edykuł z kamienia i mieszcząc w nim plastyczne unaocznienie ogrojca. Kościółek św. Barbary w Krakowie posiada Ogrojec ze sławną rzeźbą Wita Stwosza. Budynek Ogrojca stoi również na cmentarzu kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu.

W Wielki Piątek pobożni w worach płóciennych chodzili po kweście, zbierając datki na bractwa. Bractwo św. Franciszka miało w tym dniu przywilej wyproszenia jednego skazańca od śmierci; ponadto odwiedzano wtedy więźniów i przynoszono im pomoc zarówno materjalną, jak i moralną.

---

niesies. Ale to ci pedom, ze tak musi być bez trzy dni i robota skończona.

Maciek z wielkiej uciechy, że tak tanim kosztem zarobi pięć talarków i kożuch, roześmiał się na całą gębę — a dziad kończył:

— Tylko se popamiętojcie, ze wom nie wolno nic nikomu o tym godać — boby się mogło nie udać, dusycki by się mgły łozeźlić, abo ksiądz dobrodziej, a śnimi nie chciołbym mieć nic do cynienio.

Tej samej zatem nocy, Maciek o umówionej godzinie zjawił się w chacie wójta, otulonego w baranicę zabrał na bary i ruszył na cmentarz.

Szedł równym gościńcem, wkrótce stanął na miejscu. Chwilę musiał poczekać aż z pobliskiego kościółka zegar zaczął wybijać północ, wówczas Maciek wykonał co mu przykazano i bezzwłocznie ruszył w powrotną drogę. Następnego ranka po wizycie na cmentarzu, wójt istotnie poczuł się lepiej, mógł nawet trochę głową poruszać, a wójtowa gdyby nie przysięga złożona dziadowi, że nikomu mówić nie wolno, byłaby po całej wsi rozniosła radosną nowinę, jak to dziad jej chłopa kuruje.

Dziad tymczasem od rana do nocy siedział przy kominie i najlepszych kęsków się domagał. Po następnej wizycie na cmentarzu, do tego stopnia poprawiło się wójtowi, że domagał się jajecznicy, ale dziad stanowczo zabronił, wyręczając wójta w tej czynności, na intencję jego wyzdrowienia.

Kiedy Maciek po raz trzeci i ostatni miał z wójtem wyruszyć na cmentarz, dziad odwoławszy go na bok, rzekł z wielce tajemniczą miną:

— Maciek — uwozoj, bo to dziś ostatni dzień, dziś bedziemy widzieć cyś kiep — cyś chłop mądry! — Bo to ci pedom, zebyś dzisioj nie wiem co uwidzioł, cy co usłysoł, nie wolno ci się za sie oglądać, ani wystrasyć. Do smętorza musis dojść, co potrza zrobić, a potym cymprędzej do domu!

Maciek słuchał tej przemowy dziada, niewiele z niej zrozumiał o co chodzi, boć przecie dwa razy dobrze się sprawił, to czemu miałby trzeci raz inaczej uczynić. Nie rzekł przeto nic i jak zwykle wziął wójta na bary i ruszył w drogę. Noc była prześliczna, jasna; gościniec, po którym szli, bielił się przy blasku księżyca, niby jasna wstęga wdal rozwinięta. Przydrożne topole zcicha szumiały. Od czasu do czasu wśród gałęzi drzew zakwilił zbudzony ptak, lub sowa zrywając się za żerem, potrącała drzew konary. Maćkowi dziwną wydawała się ta noc. Szedł jakoś wolniej, jak w dnie poprzednie, wciąż mu się zdawało, że ino patrzeć, jak gdzieś zza drzewa lub krzaka wychyli się jakiś strach lub zgoła jaka pokutująca duszyczka. I był zły, bardzo zły, dlaczego ów przeklęty dziad, jak na złość dziś mu tyle różnościów naopowiadał: gdybyś to — abo tamto zobaczył — nie wolno ci się bać ani oglądać.

Teraz dopiero zrozumiał Maciek sens dziadowej przemowy. Ani chybi tu coś sie na mnie szykuje. W dodatku wójt przywarł mu mocno na plecach i Maciek, chętnieby go teraz zrzucił tu na gościńcu, ale wspomniał na owe pięć papierków i kożuch, więc przyspieszył kroku. A oto już widać wieżyczkę cmentarnej kaplicy, a tuż za nią i cmentarz. Niewiadomo dlaczego pod Maćkiem ugięły się nogi, strach go jakiś dziwny obleciał jak nigdy dotąd, pot kroplisty wystąpił mu na czoło, lecz wspomniawszy znów na nagrodę, jaka go czeka, sił mu przybyło i szedł dalej.

— Za trzy Zdrowaś Maryjo bedziemy na miejscu — pocieszał się i zaczął pacierze odmawiać. Aliści nie dokończył drugiego, kiedy znagła okno kapliczki rozwarło się z trzaskiem wielkim i jakiś potężny głos zawołał:

— Niesies go tam?

Gdyby piorun z jasnego nieba tuż przed Maćkiem uderzył, byłby go tak nie wystraszył, jak owo zapytanie jakiejś duszyczki zza świata. Bęcnął tedy wójtem o ziemię aż zajęczała, poczem porwawszy nogi za pas, jął wyrywać wprost przez pola, przez ugor, za nim wójt pędził co sił w nogach, wrzeszcząc przeokrop-[illegible]

— Ratuj się kto w Boga wierzy!

Tak uciekając na skróty, woda nie woda, rów nie rów, aż wreszcie oparli się o wójtową zagrodę. A co dziwniejsza, że wójt, ten chory wójt ze strachu widocznie, takiej dostał mocy w całem ciele, że pierwszy przed Maćkiem dobiegł swej chaty. Wójcina, gdy zobaczyła swojego chłopa na nogach, dech jej zaparło ze zdumienia.

— Rajuściewy, dziadzie, chodzino a spojrzyjcie, to-ze chłop som chodzi — guz mu się łospęknył!

Lecz dziada trudno się było w tej chwili doszukać w sianie na strychu, gdzie miał swoje posłanie, dopiero nibyto po chwili skądsik wyszedł i tajemniczo się uśmiechnął, z miejsca dopominając się reszty umówionej zapłaty. Maciek zaś chciał na plebanję wracać wielce zawstydzon, że tak sromotnie dał się wystraszyć, lecz dziad ku jego wielkiemu zdumieniu rzekł:

— Maciek, piknie sie spisołeś, bierz kożuch, a wy gospodyni wypłoćcie mu, co mu sie należy.

Gospodyni tym razem ani słówkiem się nie sprzeciwiła i zdumiony Maciek nigdy potem pojąć nie mógł, czy to była racyjo cy nie.

Kozłowska A.

Warszawskie tradycje wielkanocne.

Kraków, w marcu.

Dawnemi laty wszelkie obchody kościelne, jakoteż zabawy ludu warszawskiego **koncentrowały się przeważnie w dzielnicy staromiejskiej**. W Wielki Piątek gromadziły się nieprzejrzane tłumy przed kościołem Panny Marji na Nowem Mieście, aby się **przyjrzeć tradycyjnej śmierci Judasza**, zrzucanego wśród łajań i przekleństw na bruk z wieży kościelnej. Albowiem czeladnicy szewscy z całego miasta przy pomocy dzieci rybaków z pobliskiego Powiśla wciągali dużą, dziwacznie przystrojoną kukłę ze słomy na szczyt wieży, **aby zrzucić potem owo wyobrażenie Judasza na bruk, okładając go porządnie kijami.** Przywiązawszy następnie Judaszowi kamień u szyi, wleczono go nad Wisłę i topiono w jej nurtach.

Inna część publiczności warszawskiej, żądna zgoła odmiennych wrażeń, podążała gromadnie do kościoła Przemienienia Pańskiego przy ulicy Miodowej, by podziwiać w kwiatach wiosennych tonący Grób Boży, artystycznie przystrojony przez OO. Kapucynów, słynących z zamiłowania do kwiatów.

Do roku 1863

utrzymywał się w kościołach warszawskich starodawny zwyczaj,

że z chwilą gaszenia świateł w kościołach, krzesano ogień, od którego po poświęceniu go zapalano na nowo lampy i świece. Nierzadko też pobożni przynosili z sobą świece, aby **zapaliwszy je od ognia świętego**, zanieść ostrożnie do domu i zapalić od nich lampki przed obrazami świętemi.

Dawnemi laty odbywała się we wszystkich kościołach rezurekcja dopiero po godzinie dziewiątej wieczór, a nie jak obecnie przeważnie o szóstej. — Srebrzysty dźwięk dzwonów i wesoły śpiew: Alleluja! **przywracały dobry humor po dniach skupienia i smutku** i wracano do domu, najczęściej z zaproszonymi gośćmi, by zasiąść do sutego święconego, od którego za dawnych czasów stoły się wprost uginały.

Czemże jednak było, choćby najbogatsze święcone, mieszczucha warszawskiego w porównaniu ze stołem świątecznym u Sapiehów w Dereczynie, co opisuje plastycznie kronikarz z czasów Władysława IV. Cztery ogromne **dziki przedstawiały cztery pory roku**, dwanaście pieczonych jeleni ze złotemi rogami **miało wyobrażać dwanaście miesięcy roku**. Nie brakło też odyńców, nadziewanych szynkami, kiełbasami i prosiętami, jakoteż cietrzewiami, dropiami i zającami, przyrządzonemi w sposób odpowiadający najwykwintniejszym gustom szlachty i magnatów.

Nie ustępowały mięsiwu ciasta tak pod względem jakościowym, jak też ilościowym. Bab łącznie z mazurkami naliczono trzysta sześćdziesiąt pięć, ile dni w roku, **a każda baba ozdobiona była wymyślnemi deseniami, lukrami, napisami i przeróżnemi esami-floresami.** Wina w konwiach, baryłkach, gąsiorach i puharach ustawiono również tyle, ile rok dni sobie liczy!

Tak to bywało na dworach pańskich:

Ale i skromny, a pełen dumy lud warszawski nie skąpił sobie niczego w okresie Wielkiejnocy! I zabawić się łacno mu było!

Dużo okazji do śmiechu i zabawy dawał tradycyjny śmigus,

dyngusem też zwany, polegający na oblewaniu się wodą lub perfumami (w późniejszych czasach) w poniedziałek wielkanocny. Zwyczaj ten uprawiano równie w skromnych chałupkach na Powiślu, jak też w bogatych pałacach. W drugie święto **odbywały się również zabawy**, które bywały licznie uczęszczane. Początek ich sięga roku 1836, a urządzano je na placu Komisji, obecnie placu Krasińskich. Pośrodku rozległego, niezabudowanego wówczas placu, ustawiano wysoki, grubo mydłem pociągnięty słup, z małą platformą na szczycie, gdzie układano **nagrodę dla zwycięzcy**, — który po śliskiej powierzchni wydostanie się na samą górę, podobnie jak **to dziś jeszcze bywa na Rękawce w Krakowie.** Nagroda była nie byle jaka! Tani garnitur frakowy, cylinder, lakierki, srebrny zegarek, butelka wina do pokrzepienia się po przebytym trudzie i jeszcze dziesięć złotych. Przynęta istotnie nielada! Kandydatów nie brakło nigdy! I konkurencja była silna wśród młodzieży, przeważnie staromiejskiej. Pierwsi odważni, nieraz już bardzo bliscy celu, **zjeżdżali nagle wdół** ku radości następnych kandydatów. Najsprytniejsi czekali cierpliwie, aż ich poprzednicy pościerają ubraniami warstwę mydła i wówczas to o wiele już łatwiej osiągali swe marzenie. Zwycięzcę należącego najczęściej do stanu murarskiego, witano hucznemi oklaskami.

W połowie ubiegłego stulecia

przeniesiono wielkanocną zabawę ludową na Ujazdów,

gdzie na obszernym placu, zajętym obecnie przez park Ujazdowski, zabawa **przybierała wprost charakter igrzysk ludowych.** Ustawiano szereg bud i namiotów których wnętrze skrywało przeróżne dziwy i atrakcje. Na dachu każdego z nich lub przed wejściem rezydował **„wywoływacz"**, reklamujący cuda: to jakiegoś magika, to dziewicę bez nóg, to znów cielę o dwu głowach lub świnkę morską, wreszcie mówiące papugi. Powodzeniem cieszył się zachwalany wielce **teatrzyk marjonetek.** Z wnętrza bud dochodziły **ochrypłe dźwięki muzyki** na jakimś zepsutym instrumencie, co przyczyniało się walnie do potęgowania ogólnej wrzawy i hałasu, — które rozbrzmiewały aż do Placu Trzech Krzyży. Druga zaś strona rozległego placu **usiana była kramami i barakami**, pełnemi jadła i napojów. Po placu uwijali się również sprzedawcy ciast i pierników.

Co krok znajdowała się jakaś huśtawka, albo djabelski młyn, to znów karuzela. Nad całym, ogromnym placem wznosił się majestatycznie słup, przedmiot westchnień i pragnień niejednego młodzieńca warszawskiego.

W miarę zabudowywania się dzielnicy ujazdowskiej

przeniesiono zabawy na Mokotów,

gdzie nie miały już żadnego niemal powodzenia i tak zwolna ta ładna tradycja **poczęła zanikać.** W pierwszych latach bieżącego stulecia wznowiono raz jeszcze wielkanocne zabawy ludowe, umieszczając je na placu na Powązkach, nie posiadając jednak dawnego ożywienia ani humoru, nie ściągały publiczności i dotrwawszy do końca wojny, zakończyły swój żywot.

Do właścicieli sadów.

Zima 1928/29 roku spowodowała niepamiętne spustoszenia wśród naszych sadów, gdyż **wymarzło wówczas wiele miljonów drzew owocowych** i to nietylko w starych, dobrze pielęgnowanych sadach, lecz i olbrzymia ilość drzew przydrożnych.

Odbudowa naszych sadów, wymagała po tej strasznej klęsce, przeprowadzenia starannych badań i opracowania pewnych wiadomości, dotyczących doboru drzew owocowych, jak najwięcej odpowiadających naszym warunkom klimatycznym.

Pracą tą zajęła się utworzona w r. 1930 **Komisja Pomologiczna**, która pracując w ciągu 6-ciu lat przy pomocy 16 najwybitniejszych pomologów polskich, opracowała dobór najodpowiedniejszych odmian handlowych, dla poszczególnych stref klimatycznych kraju i to nie tylko pod względem wytrzymałości na mrozy, lecz także na ich odporność na choroby, łatwość ulegania szkodnikom i t. p.

Nowozałożone sady są rezultatem prac wspomnianej komisji; praca ta **związana była z wielkiemi trudnościami i kosztami**, które mogą się okazać płodnemi, jeżeli szeroki ogół nie zechce się przyczynić do rozumnej, szczerej, a przedewszystkiem chętnej pomocy, związanej ze zwalczaniem szkodliwych wpływów atmosferycznych, których nam zima obecna bynajmniej nie szczędzi. Temperatura spadała w roku bieżącym do —40° C., co nie mogło nie wpłynąć wielce ujemnie na stan nietylko młodych, lecz i starych sadów owocowych.

W roku 1928/29 wymarzło około 50% drzew owocowych, klęska ta może być w r. b. daleko dotkliwsza, **jeżeli nie postaramy się, chociażby częściowo, skutkom mrozu zapobiec.**

Pamiętać należy, że drzewa owocowe najwięcej cierpią od mrozów w lutym i w marcu, gdyż pod wpływem dużej zmiany temperatury (+10 —15° C. dniem a nierzadko —15° C. nocą), zaczynające krążyć w drzewie soki, nocą zamarzają, rozsadzają tkanki najczulszych części drzewa, t. j. kory, łyka i miazgi.

Dowodem powyższego bywa popękana kora, oraz rakowate rany; takie uszkodzenia występują zawsze z południowo-zachodniej strony drzewa, a zatem na miejscu najsilniej słońcem ogrzanem.

Ażeby zatem **zabezpieczyć drzewa** od wielce szkodliwych działań marcowego słońca, należy pnie młodszych drzew owijać trzciną, sitowiem lub słomą i **pozostawić je tak do kwietnia lub nawet i początku maja.**

Najlepszym jednak środkiem przeciw przemarzaniu drzew jest bielenie nie tylko pni, lecz całych drzew wapnem.

Bielić drzewa powinniśmy dwa razy do roku: pierwszy raz w październiku — listopadzie, drugi raz w końcu lutego — marca.

Oto korzyści, jakie nam daje bielenie:

1) Niszczy porośla na drzewach, a razem z niemi zimujące pod ich ochroną szkodliwe owady, a na gałęziach jajka mszyc i t. p., a także i zarodki chorób.

2) Podtrzymuje czystość i elastyczność kory, co wielce wpływa na zdrowie drzewa.

3) **Odraża w lutym — marcu bardzo szkodliwe dla drzew promienie słoneczne.**

4) Z dodatkiem krwi, sadzy i cuchnących materjałów, użyte do bielenia wapno, chroni pień od obgryzania przez zające i inne szkodniki.

Uszkodzenia drzew przez mróz mogą być rozmaite. Całkowicie zmarzłe drzewa łatwo **poznać po ciemnym lub brązowym kolorze popękanej kory**, ciemnym rdzeniu gałązek, lub oślizgłej korze. Uszkodzenia mniejsze poznać trudniej, gdyż niektóre drzewa nietylko wydają liście, lecz nawet kwiaty i owoce, aby następnie zginąć powolną, jakby męczeńską śmiercią, przy czem stan taki trwać może kilka tygodni, a nawet lata całe.

Stanisław Wallach

Zaprzysiężony rzeczoznawca do spraw ogrodniczych.

U kolebki nowoczesnego automobilizmu.

Spokojny wieczór 1882 r. zapadał w miejscowości Cannstatt.

Już dobrze zciemniło się, gdy pojawiła się naulicy grupka uzbrojonych ludzi, która dążyła do domu, położonego w ogrodzie zdala od innych.

Z domu tego dochodziły dniem i nocą podejrzane dźwięki — słyszało się uderzenia młotem, pukania, piłowania itp. Ludzie, którzy przechodzili obok tego domu, ciekawili się tym niezwyczajnym ruchem, jaki panował w jego wnętrzu, ale co tam działo się, nikt nie mógł odgadnąć. Drzwi domu pozostawały zamknięte, a okna strzelnie przysłonięte.

Posterunkowi silnie zapukali do drzwi, które zawsze były zamknięte, a przodownik zawołał: „W imieniu prawa proszę otworzyć!"

Drzwi otworzyły się.

Zdziwienie przybyłych nie było mniejsze od zdziwienia tych, którym przerwano pracę, a niemiła sytuacja została zakończona ogólnym śmiechem. Otto Gottlieb Daimler i Wilhelm Maybach wyjaśnili wkraczającej policji, że pracują nad budową nowego motoru, który ma spełnić dawne sny ludzi.

W rok później mógł Gottlieb Daimler zebrać już pierwsze owoce tej wytrwałej i tajemniczej pracy. Dnia 16 grudnia 1883 r. motor inżyniera Gottlieba Daimlera z Cannstattu został opatentowany.

W tym samym czasie Karol Benz założył w Mannheim swój mały warsztat z którego w dwa lata później wyszedł pierwszy samochód ciężarowy świata.

Ci dwaj sławni wynalazcy pracowali nietylko niezależnie od siebie, ale nie nie wiedząc o sobie.

Od chwili, kiedy Daimler zbudował pierwszy motocykl (1885) aż do zwycięstwa w pierwszym wyścigu motorowym w Paryżu (1894) musiał on niejedną trudność pokonać.

CO KOMU POTRZEBNE...

Wieśniakowi umarł 3-letni synek. Rodzice bardzo płakali, a sąsiedzi pocieszali ich:

— Nie płaczcie kumie, niewinna duszyczka! Teraz z niej aniołek będzie.

— Eee, cóż mnie z tego! — powiada smutno ojciec. — Ja potrzebuję pastucha.

XEREZ.

Strzał w parku.

Popijając czekoladę w cukierni, rozmawiałem z moim przyjacielem Antonim W. o wiośnie, Wielkanocy i miłości. Jakoś dziwnie splatały się te trzy tematy, chociaż właściwie nie było jeszcze ani wiosny, ani Wielkanocy, a miłość nie grała wtedy w mojem życiu żadnej roli.

A mimo to...

Zwykle wraca się do wspomnień właśnie wtedy, gdy nie przeżywa się niczego radosnego. Mój przyjaciel, zresztą znacznie odemnie starszy, był w tem dziwnem położeniu, że przez całe niemal życie kochał się, miał zamiar się żenić, i wkońcu został starym kawalerem. Był zbyt mało realny, może zamało poradny, a może też zbyt ostrożny, aby słowne zapewnienia miłości i uczucia swoje przekuć na złotą obrączkę i wpis do ksiąg kościelnych. Zresztą słyszałem wiele szczegółów o jego przeżyciach miłosnych, wśród których nie brakło naprawdę ciekawych. Pan Antoni W. był zdolnym literatem, ale z gatunku tych literatów, którzy piszą jak Kochanowski „sobie a muzom", nie umiał też wyciągnąć ze swych zdolności ani korzyści materjalnych, ani też nie zarezerwował sobie wygodnego miejsca na Parnasie. Był to zasadniczo dziwak, który dał się ponosić chwilowym nastrojom, a potem zabrnąwszy w nie, nie zawsze umiał i wiedział jak się z nich wycofać. I tak schodziło mu życie, które nieraz mogło mu się wydawać dziwnym snem. Znany był jednak w towarzystwie jako przemiły człowiek, świetnie opowiadający poważne i wesołe rzeczy, pozatem odznaczał się niezwykle rasową i piękną powierzchownością, przypominając w swoich starszych latach jakiś portret granda hiszpańskiego pędzla Vasqueza.

— Gdy dziś sobie przypomnę po latach trzydziestu moje różne młodzieńcze flirty, chce mi się śmiać ze siebie samego, a równocześnie jakoś mokro mi się robi pod powiekami. Kawał czasu! Ile się przeszło, ile się przeżyło naiwnych, ale jakże miłych chwil... Ile energji i optymizmu, ile nadziei wkładało się w te przeżycia i jak bardzo wszystko poszło inną drogą.

Przerwał i począł kręcić papierosa, nakładając na bibułkę trochę tytoniu. Było to jedno z jego dziwactw; nigdy nie palił papierosów gotowych, tylko sam je sobie sporządzał, zresztą z wielkim trudem i bardzo niezgrabnie. Twierdził bowiem, że od gotowych papierosów dostaje się wysypki na wargach, gdyż podobny wypadek wydarzył mu się kiedyś lat temu powiedzmy dwadzieścia pięć. Było to dziwactwo stosunkowo nieszkodliwe, ale wystarczające, aby charakteryzować starego kawalera.

— Wie pan, że serdecznie panu zazdroszczę tych wszystkich wzruszeń i uniesień, o których tyle słyszałem. Dopiero przeżywając takie chwile czuje się, że się naprawdę żyło, egzystencja spokojna, unormowana i rozgrywająca się, żeby się tak wyrazić nazewnątrz, nie daje tyle satysfakcji, co właśnie takie przejścia.

Podniósł głowę, oczy jego powędrowały gdzieś daleko. Może szukał na niebie kawałka niebieskiej chmurki, którąby zwiastowała słońce tak niełaskawe tej wiosny dla ludzi. A może zaczął przeglądać w pamięci rejestr swoich przeżyć, chcąc mi opowiedzieć jedno z nich?

— Opowiem panu jeden jedyny epizod, po którym osądzi pan, w jakim żyło się wtedy, za mojej młodości, w czasach uniwersyteckich, nastroju i co wtedy nas, t. zn. moich przyjaciół a przynajmniej mnie, interesowało.

Mieszkałem wtedy we Lwowie i studjowałem na tamtejszym uniwersytecie filozofję. Złote to były czasy: chociaż moja sytuacja finansowa była dosyć kiepska, gdyż rodzice moi stracili w tym czasie majątek, to jednak miałem tylu przyjaciół i tyle miłych domów, w których się bywało, że nie było prawie dnia, abym nie był gdzieś proszonym. Mówiono o mnie wtedy, że jestem bardzo przystojny, elegancki i miły. Powtarzam to tylko ze ścisłości kronikarskiej, gdyż trudno mi samemu o tem sądzić, w każdym razie nie mogę się skarżyć, abym nie miał powodzenia wśród ówczesnych panien i aby nie powstawały ciągle to nowe projekty małżeńskie. O ile większość tych flirtów nie miała większego znaczenia, o tyle zakochałem się pewnego razu — jak to mówią — na śmierć i życie w pięknej księżniczce Hani L. Była to osóbka 20-letnia, o niezwykle wielkich i marzących oczach, blondynka, mająca jakiś dziwny czar. Nawet jej sposób mówienia nieco powolny, jakby senny, czarował mężczyzn. Pozatem robiła wrażenie, jakby sama przez się nie miała żadnej woli, lecz czekała na narzucenie jej przez kogoś drugiego. I właśnie może ta jej pewnego rodzaju indolencja, względnie ten jej dziwny spokój, jakiś marzący, nierealny i dziwny, stawał się jej główną atrakcją psychologiczną. Wiedziałem, że mnie kocha, ja sam byłem również oddany jej całą duszą. Ale sytuacja nie była łatwa, gdyż rodzice Hani L. mieli co do jej przyszłości już określone plany, a pozatem chcieli, aby zrobiła t. zw. dobrą partję. Miała zresztą do tego wszelkie prawa, bo była bardzo piękna, bardzo zamożna, a pozatem nad jej monogramem unosiła się mitra książęca. Ja natomiast nie reprezentowałem żadnych takich walorów, jakieby mogły tu zaważyć. Uważano mnie za bardzo zdolnego, ale byłem tylko studentem uniwersytetu, pochodzącym ze znanej rodziny, ale zbiedniałej.

Właśnie nadchodziły święta Wielkiej Nocy. Lwów, miasto niezwykle gościnne i lubiące się bawić, przygotowywał się na te święta z całym przepychem, na jaki stać było w czasach grubo przedwojennych bogatych ludzi. Wszystkie panie domu pilnowały Święconego, które wychodziło z licznych pieców, przygotowywało się na kuchni, mieszało w rondlach, ucierało w moździerzach i rondlach. Mężczyźni wypędzeni po większej części z domowego raju pod pozorem porządków, spoty-

Nowy porządek w Azji wschodniej.

Przed stworzeniem nowego rządu nankińskiego.

Nowy Jork, w marcu.

Jak się zdaje, stanowi objęcie stanowiska **szefa rządu chińskl go przez Wang-Ching-Wey** tylko **kwestję tygodni**, gdyż już od 5-ciu miesięcy sprawa ta ciągle była odkładana. Zdaniem Japończyków objęcie rządów przez Wang-Ching-Weya jest wypływem **„nowego porządku w Azji wschodniej"**.

Na te okoliczności wskazuje **oświadczenie delegacji japońskiego rządu**, która ma wziąć udział w uroczystościach w Nankingu, dokąd zresztą Wang-Ching-Wey już się udał z odpowiednią strażą okrętem. — Nowojorski „New Jork Times" komunikuje w tej sprawie, że przedostatni premjer japoński **gen. Abe stanie na czele delegacji tego kraju.** Otoczenie natomiast generała znajdować się będzie pod **przewodnictwem jednego z najwybitniejszych dyplomatów młodszej generacji**, b. posła w Kanadzie **Sato-Matsu**, natomiast odrzuciła armja japońska plan postawienia na czele delegacji Koki Hiroty, który również był dawniej premjerem.

Armja oświadczyła, że tylko taka osobistość przypada jej do smaku, która podczas trwania prowizorycznego stanu rzeczy piastowała aktywnie jakieś wysokie stanowisko. Wypływałoby z tego, że **rząd japoński uważa stan przejściowy**, który trwał 2 i trzy czwarte roku **za ostatecznie zaiatwiony** z chwilą objęcia władzy przez Wang-Ching-Weya.

Dla sytuacji politycznej w Tokio jest ciekawem, że książę Konoye, dla którego rządów premjerowskich rozpoczął się ów stan przejściowy, odrzucił propozycję objęcia przewodnictwa delegacji.

Korespondent „New Timesa" w Tokio stwierdza w związku z tą sprawą, **że nowo ustanowiony rząd nankiński jest**

Jedynym rządem chińskim, który zyskał uznanie Japonji,

i że wszystkie transakcje zagranicy poczynione na obsadzonym terenie Chin — **muszą przejść przez ręce tego nowego rządu** bez względu na to, czy rządy zagraniczne uznają nadal rząd narodowy Cziang-Kai-Szeka czy też nie.

Należy podkreślić, że stosunki dyplomatyczne Japonji do Nankinu nie odpowiadają dotychczasowej rutynie dyplomatycznej, **gdyż specjalny urząd istniejący od dłuższego czasu, a poświęcony sprawom Chin**, składający się zaś z przedstawicieli gabinetu i armji, **będzie w dalszym ciągu dbał o politykę koordynacji.** Można to przetłumaczyć słowami, że będzie on **wywierał bezpośredni stały wpływ na nowy rząd.** Zaznacza się przytem, że **Kato opiekować się będzie ministerstwem spraw zagranicznych** na długi jednak rzeciąg czasu, jedynie armja japońska będzie stanowić właściwy autorytet dla polityki japońskiej w Chinach, gabinet zaś tokijski pozostanie za kulisami. Warto zaznaczyć, przytem, że gen. Abe nie zostanie w Nankinie jak pierwotnie zamierzano, lecz powróci, pozostawiając wolne pole armji.

Jakkolwiek prezydent Wang-Czing-Wej kilkakrotnie podkreślił, że stanowisko prezydenta przyjmie tylko wtedy, gdy sytuacja Nowych Chin będzie w swoich zasadach ściśle wyjaśniona, przyczem zaszły pewne trudności przy odnośnych rokowaniach, powodując opóźnienie tego skonkretyzowania, to jednak **nic niewiadomo o rezultacie tych rokowań**, jak też nie wiadomo **nic bliższego o losie pięciu prowincyj północnych**, ani też o **nowej formie ustroju.**

Wobec tego, że ostatnio często jest mowa o oficjalnej partji p. n. „Ortodoksyjnym Kuomintangu", należy się spodziewać, że chodzi o skopjowanie poprzedniego rządu nankińskiego. Zresztą wspomniana partja istnieje chwilowo tylko na papierze, a Wang-Czing-Wey może poruszać się tylko pod opieką ścisłej straży.

W każdym razie stanowi **objęcie władzy przez Wang-Czing-Weja**

nowy rozdział historji Chin

ostatnich dziesiątek lat i stanowi ważny czynnik we wzajemnych **stosunkach Japonji do innych państw, przedewszystkiem zaś do Ameryki,** która w niezwykle energicznej formie wśród przeciwników nowego porządku przedstawiła swoje żądanie utrzymania „status quo".

Należy odczekać, jak Waszyngton zapatrywać się będzie na ten krok Japonji, temwięcej, że Ameryka od roku ciągle przerywała wszelkie starania tego kraju, poświęcone załagodzeniu sytuacji i zbliżeniu się. Dla Japonji w każdym razie stanowi stworzenie nowego rządu pierwsze żniwo swojego wielkiego przedsięwzięcia w Chinach, natomiast dla Ameryki jest ono jedynie kwitem za niepowodzenie swej polityki, opierającej się na „status quo".

Wobec tego, że polityka Stanów Zjednoczonych jest obecnie wymierzona w kierunku Europy, stan rzeczy, jaki chce stworzyć Japonja, musi im być bardzo nie na rękę, stawiając je przed alternatywą, czy należy kontynuować politykę materjalnych protestów. Nie ulega wątpliwości, że **uznanie Wang-Czing-Weja postawiłoby całą politykę Dalekiego Wschodu** od paktu dziewięciu mocarstw konferencji waszyngtońskiej z 6 stycznia 1922 r. **na głowie.**

Cagliostro w Warszawie.

Kraków, w marcu.

Warszawa w XVIII w. obfitowała w najrozmaitszego kalibru **awanturników**, którzy tu **cisnęli się korzystając z łatwowierności naszej i miłości dla cudzoziemców.** Żaden z tych ptaków ciągnących na północ, nie minął stolicy nadwiślańskiej, wielu w niej znalazło stałe gniazdo i **łatwą fortunę.**

Nie mógł pominąć Warszawy i najsłynniejszy wielki Kopt, wielki cudotwórnik, alchemista hr. Cagliostro. Przybył on tu powracając z Rosji i Kurlandji w maju 1780 r., poprzedzony umiejętnie szerzonemi wieściami o nadzwyczajnem powodzeniu, jakiego miał doznawać w Rosji, co było fałszem, bo dwór petersburski, a **szczególnie cesarzowa poznała w nim oszusta**, i zadała sobie nawet pracę wychłostania go najjaśniejszą ręką. Napisała ponadto dwie komedje, wyśmiewające łatwowiernych, co mu się uwieść dawali. **Wyszły one w języku niemieckim.**

Cagliostro w Warszawie przedstawił się jako mason egipski, mogący udzielić ciekawych wiadomości.

Żona szarlatana była młoda, piękna i doskonale odgrywała swoją rolę pośredniczki między chciwemi sekretów, a bardzo zazdrosnym o nię hrabią.

Dnia 7 czerwca rozpoczęte alchemiczne roboty, które polegały na niezręcznem kuglarstwie, przeniosły się z Warszawy na Wolę i tam szły już lepiej. **Wielki Kopt latał w kabriolecie po mieście, odwiedzając panie, które kurował.** Mimo, że mistrza przyłapano niejednokrotnie na cygaństwie, byli ludzie, którzy wierzyli mu, zapalali się i chcieli przekupić żonę, aby zdradziła sekreta wielkiego Kopta.

Cagliostro bawił w Warszawie conajmniej do końca czerwca. O sobie prawił niestworzone rzeczy, ale ich nie usprawiedliwiał niczem, prócz zuchwałej blagi. On i żona przybyli bardzo źle zaopatrzeni, bez bielizny, odziani licho, ale **umieli wnet dostać pieniądze i klejnoty.** Pani Cagliostro równie dobrze odgrywała swoją rolę w Warszawie. Wychwalała wiadomości, jakie mąż jej posiada, nie zapominając o popisie własnemi wdziękami. Gdy ją proszono, aby się wstawiła do hr. Cagliostra i wyrobiła udzielenie niektórych tajemnic, najsamprzód nie robiła żadnej nadziei, następnie dawała się zmiękczać bogatemi darami, zwłaszcza klejnotami i brylantami, **nakoniec zalecała jaknajwiększą tajemnicę wobec męża.**

W ten sposób pani Cagliostro umiała wyłudzić dla siebie nietylko ogromne kolczyki brylantowe, **ale i inne klejnoty wartości ponad 2.500 dukatów.** Dodać trzeba, cała ta przygoda kosztowała tych, co w niej udział brali do 8.000. Z tym łupem, wydartym swoim ofiarom, pan hr. Cagliostro opuścił Wolę pod koniec czerwca i zniknął bez śladu. Niechybnie spotkałby go był jaki przypadek w drodze, gdyby oszukani nie woleli pokryć milczeniem swej łatwowierności, pokutując za nią w ciszy, niż karać oszusta, jak zasłużył. Mówią wszakże, iż **kilku uczniów mniej cierpliwych zażądało zwrotu diamentów**, które im zwrócono. Tego samego roku we wrześniu ukazał się Cagliostro w Strasburgu.

Chińskie myśli i aforyzmy.

Na wannie cesarza Czing-Czang było wykute następujące zdanie: „Każdego dnia odnawiaj siebie całkowicie; czyń tak za każdym razem od początku, od początku i znowu od początku".

*

Jeżeli ktoś może nauczyć kogoś czegoś dobrego, a tego nie robi — traci brata.

Jeżeli ktoś poucza kogoś, kto wcale się nie skłania do przyjęcia jego rad — traci słowa.

Rozumny i światły człowiek nie traci ani braci, ani słów.

*

Wiedzieć, że się zna to, co się zna i wiedzieć, że się nie zna tego czego się nie zna — to jest wiedza istotna.

*

Człowiek mądry żąda wszystkiego tylko od siebie, człowiek zaś bezwartościowy żąda wszystkiego od innych.

*

Każdy z uczynków dobrych lub złych ma swoich sąsiadów.

*

„Ode mnie wyłącznie zależą ci ludzie, do mnie należą pieniądze" — oto myśli szaleńca. — Jak mogą ludzie lub bogactwa zależeć od kogoś, kto sam od siebie nie zależył!

*

Zapytano mędrca: „Na czem polega szlachetność i dobro umiłowania ludzkości"?— Mędrzec odpowiedział: „Na tem, żeby ludzi kochać"! — Zapytano także: „Na czem polega wiedza?" — Mędrzec odparł: „Na tem, żeby móc poznać ludzi".

*

Z nadmiernej radości wypływa smutek, z nadmiernej beztroski powstaje strach.

Kto wolny jest od wszelkiego nadmiaru, ten nie zna ni smutku, ni strachu.

*

Być przez ogół nieznanym lub niezrozumianym i wcale się z tego powodu nie martwić — jest cechą prawdziwie szlachetnego człowieka.

*

Tylko przez cudze oczy widzi się własne błędy.

---

kali się po restauracjach, omawiali bieżące sprawy, raczyli się tradycyjnym śledziem, zakrapiając go różnemi likworami i szczęśliwi byli z tego chwilowego urlopu, jakiego im użyczono.

U księstwa L. również cały dom był w ruchu. W trzech dużych salonach, w mieszkaniu przy ul. Kurkowej miało być urządzone wielkie przyjęcie świąteczne, na którem napewno nie brakowałoby całego lwowskiego „high life'u". Moje plany wobec księżniczki Hani musiały się rozstrzygnąć właśnie w święta, gdyż wiedziałem, że rodzice zamierzają wydać ją zamąż za jej krewnego, przystojnego, młodego ziemianina. Zdecydowałem więc z Hanią, że na przyjęciu wielkanocnem wyjawię jej rodzicom nasze plany i będę starał się o ich urzeczywistnienie. Mimo to jednak, chociaż byłem pewny jej miłości, sytuacja moja nie była bynajmniej łatwa i musiałem się liczyć z kategoryczną odmową rodziców. Cóż miałem wtedy począć? Byłem zamało doświadczony, aby postanowić coś konkretnego, postanowiłem więc zapytać się o zdanie mojego serdecznego znajomego, a kuzyna i przyjaciela księstwa L.

W Wielką Środę wybrałem się do hrabiego U., który zamieszkiwał w dużym, starym pałacu, otoczonym wielkim parkiem, wprawdzie nieco zaniedbanym, ale bardzo uroczym. Hrabia U. był człowiekiem 60-letnim, bardzo kulturalnym, znającym świetnie życie i jego zakulisowe sprawy, a pozatem był mi niezwykle życzliwy. Sprzedawszy swego czasu swój majątek, wynajmował u swoich krewnych kilka pokoi w starym pałacu, który zresztą był pozatem zupełnie niezamieszkały.

Przyjął mnie, siedząc w swoim gabinecie na parterze, z którego przez duże weneckie drzwi wychodziło się do parku. Dzień był wyjątkowo tak ciepły, że drzwi były szeroko otwarte. Park jeszcze martwy miał oblicze zimowe, chociaż tu i ówdzie poczęły sypać się krokusy. Przedstawiłem mu moją sprawę, przejaskrawiając może zgodnie z moim nastrojem sytuację i oczekując od niego wyroku. Co zrobić, jeżeli rodzice Hani nie pozwolą jej wyjść za mnie zamąż? Jak ją zapomnieć i jak żyć dalej bez niej? A może posunąć się aż tak daleko i wykraść ją z domu, wyjechać gdzieś daleko, do Wiednia, do Włoch, lub gdziekolwiek indziej i zerwać wszelkie stosunki z krajem, z rodziną i z Lwowem, by żyć tylko dla ukochanej żony? Takie wtedy panowały poglądy na zawikłane sytuacje życiowe: było w nich dużo romantyzmu, albo naiwności, jak kto woli.

Hrabia U., wysłuchawszy długiego mojego opowiadania, które przerywały od czasu do czasu przeciągłe krzyki wron, obsiadających duże stare drzewa w parku, nałożył sobie do fajeczki tytoniu, zapalił ją i trwał w milczeniu. Minuty dłużyły się w sposób niebywały, każda z nich zdawała się być godziną. W pokoju zapanowała cisza. Tylko nieznośne krakanie wron przypominało nam, że natura i zwierzęta, otrząsnąwszy się z zimowego letargu, przygotowywały sobie nową egzystencję i omawiały swoją przyszłość. Mój znajomy uśmiechał się zagadkowo, ale uśmiech jego był jakiś gorzki, przykry, ironiczny i nie wróżyłem z tego dobrze o jego zdaniu.

— Więc jakież jest wyjście dla mnie? — zapytałem z niepokojem.

W pewnej chwili sięgnął niedbałym ruchem do dzwonka i zadzwonił dwa razy. W drzwiach stanął służący, czekając jego rozkazów.

— Janie, przynieś mi mój duży pistolet, który leży w szufladzie w jasnej komodzie.

Włosy zjeżyły mi się na głowie: więc to była odpowiedź, jaką mógł mi jedynie dać? Nie pozostało więc nic innego, jak samobójstwo? Należało się wyrzec Hani, zapomnieć o wszystkiem co było i skończyć ze sobą? Moja młodzieńcza fantazja ponosiła mnie, jak rozhukane konie. Tak! Nie było innego wyjścia...

Po chwili przyniósł służący duży amerykański pistolet bębenkowy, jaki wtedy uważany był za szczyt techniki. Hrabia U. wziął go spokojnie do ręki, odchylił jeszcze trochę drzwi, prowadzące do parku, zmrużył jedno oko i wycelował w jedno z pobliskich drzew.

I padł strzał, płosząc wrony, które z przeciągłym, monotonnym okrzykiem rozbiegły się na wszystkie strony.

— Strasznie mnie te wrony irytują! Cały dzień skrzeczą mi tu nad uchem i nie można poprostu spokojnie rozmawiać — rzekł.

Odetchnąłem. Znalazłem się w sytuacji dosyć dziwnej: jeszcze przed minutą wydawałem się sobie bohaterem, który za ukochaną będzie musiał złożyć w dani swoje życie. Teraz wiedziałem, że chodziło tylko o wystraszenie natrętnych wron. Zrobiło mi się smutno, gdyż czułem się trochę upokorzony.

— Cóż ja panu mogę poradzić? Pewnie, że panna Halina pana kocha. Ale pan przecie wie, że jest ona tak niesamodzielna i tak się poddaje woli rodziców, że trudno wymagać, aby zdecydowała się na stanowczy krok. A pozatem nie wiem, czy byłaby dla pana dobrą żoną. Jest zbyt wypieszczona, zbyt niesamodzielna i zdaje się trochę egoistka. Tyle przecież jest na świecie pięknych, miłych, zamożnych panien, że nie musi być koniecznie właśnie ta. Ja osobiście radzę panu się odkochać, o ile zresztą można to komuś radzić, bo nie zależy to od nas. Mimo jednak wszystkie przeszkody pomówię z jej matką, która mnie zaszczyca swoją przyjaźnią i uznaniem i postaram się wybadać sytuację.

W kilka dni później byłem na Święconem u księstwa L. Zanim jednak mogłem porozumieć się z Hanią, dowiedziałem się od matki, że jest zaręczona ze swoim kuzynem. Chwile, które wtedy tam spędziłem należały do najprzykrzejszych w mojem życiu. Ale potem przyszły inne przeżycia, czas zrobił swoje, byłem proszony na wesele Hani i wypiwszy wtedy kilka sporych kielichów starego wina, nieomal że bez żalu myślałem o tem, że została żoną kogoś innego. Bo widzi pan, tak jak człowiek co siedem lat zmienia skórę, tak też i zmienia ciągle swoje nastroje, swoją psychologię i to jest całe nasze szczęście, gdyż trwając ciągle w jednem uczuciu bylibyśmy bardziej nieszczęśliwi, niż nimi jesteśmy...

I znów popatrzył na niebo, jakby chciał podkreślić, że przecież i pogoda się zmienia i następują coraz to nowe pory roku i że wszystko w życiu polega na zmianie...

Wydawnictwo: „Dziennik Poranny", Kraków, Wielopole 1. — Telefony: 150-60, 150-61, 150-62.